

Wojciech Nowicki

Tuż obok

fragment

Przychodzi mi do głowy inny jeszcze początek historii odczytywania tych zbiorów, zakotwiczony w mojej własnej przeszłości. Lekcja geografii w podstawówce, na drugim piętrze szkoły ponurej jak koszary: poczerwieniała ze złości nauczycielka krzyczy i rzuca kluczem przymocowanym do drewnianej gruszki z wypalonym numerem sali. Celowała w głowę mojego sąsiada, zdaje się, że w tamtej chwili bez reszty ogarnięta szaleństwem, pewien też jestem, że niewiele już widziała, gruszka i klucz chybiły więc celu: stuknięcie o ścianę, odpadająca farba, dźwięk metalu. Ona wtedy już drżała. Głosem, w którym coś kipiało kazała temu mojemu sąsiadowi, szarpanemu tikami chłopakowi, tę gruchę z kluczem odnaleźć i przynieść z powrotem. Ale zanim to wszystko nastąpiło, śledziłem, nie po raz pierwszy zresztą, całą sekwencję, jej kroki ku katedrze, już wtedy wiedziała, co robi, widziałem, jak szuka klucza wzrokiem, zamach; a kiedy ręka była uniesiona, rękaw zakietu odsłonił złoty zegarek, Doxę na zadziwiająco szerokim czarnym pasku skórzanym, zbyt masywnym jak na niewielką kopertę i zazwyczaj noszonym o wiele zbyt wysoko, jakby z przegubu jej spadł w kierunku przedramienia. Pod tym paskiem były wytatuowane cyfry, jej oświęcimski numer, który w chwilach spokojniejszych pokazywała po prostu z płaczem. Była dużo starsza od pozostałych nauczycieli, między wiekiem naszych rodziców a dziadków, zazwyczaj o wiele bliżej tych drugich. (Choć wtedy wszyscy wydawali się starzy). Nikt jej nie współczuł, nie znosiliśmy jej szczerze: byliśmy przekonani, że może zrobić z nami, co zechce. Z tych wszystkich lat z nią spędzonych, a były niemiłe, zapamiętałem niewiele więcej. Zachowało się właściwie tylko to: krzyk, czerwona twarz, błysk złota, czarny pasek i ciemne, choć nieco już rozmyte cyfry,

a potem płacz i ucieczka. Tatuż z numerem tylko dla nielicznych był już wtedy dokładną informacją. Wszystko to było wyblakłe, działo się niemal czterdzieści lat po wojnie, i z całej tej klasy, z całej tej olbrzymiej szkoły tylko ona nadal była w niej uwięziona, ona jedyna wciąż cierpiała głód i upokorzenia. Więc żadnej litości, i słusznie, litości nikt nas nie uczył, tylko chwały, i dumy z przegranej.

Nie o litość zresztą tu chodzi, tylko uwagę, o znaki łatwe do przeoczenia: rozmyty tatuż, blizna w ziemi zarośniętej trawą, wyrwa w rodzinie. Z bezpiecznej perspektywy można nie tylko zbagatelizować to, co się przydarzyło ludziom starszym o pokolenie czy dwa, ale w ogóle ich nie dostrzec. Nie wiem jednak, jak można przeoczyć je na żywo, kiedy całe miasta leżą w gruzach i każda niemal rodzina dostaje kartki z frontu albo lakoniczne zawiadomienia z Czerwonego Krzyża, a na ulicach widać ludzi albo to, co z nich zostało.

Cokolwiek sobie myśleli, oni, twórcy zbioru, z jakichś przyczyn fotografowali co innego, nie rozoraną ziemię, po której nadal niósł się huk. Nie kraj, w którym spalone wsie śmierdziały dymem, gdzie brakowało pracy, materiałów, koni, zwierząt hodowlanych, żywności, gdzie cierpiano głód. Robili zdjęcia wszystkiemu, co obok, a jeśli zahaczali o główny temat, o wojnę, to masię wrażenie, że tylko przypadkiem.